

Magazyn Literacki Składka
nr 2/2025 (16)
Festiwal/cyrk



Antonina Tosiek, Bogna Goślińska, Michalina
Cendrowska, Martyna Antonina Cicha,
Marcin Salwin

Agnieszka Garbutt, Bartek Dołotko, Michał
Kowalczyś, Natalia Dobroń, Aleksandra Szajnecka,
Weronika Rychta



4	Antonina Tosiek, Gościni numeru gnoza neogotyck dziewczyna odpowiada na spis powszechny
8	Bogna Goślińska Bal
10	Michalina Cendrowska cyrkówka
11	Martyna Antonina Cicha w czyścicu nie pada Rytm
13	Marcin Salwin śmierć błazna, koniec żartu
18	Agnieszka Garbutt
19	Bartek Dołotko Cirque du soleil, ale słońce jest we lwie
25	Michał Kowalczyk Wygnanie z raju Dług po wygnaniu
29	Natalia Dobroń Współczesne czarownice wróżą z kul dyskotekowych
36	Aleksandra Szajnecka Grochówka
40	Weronika Rychta Okrągłe historie

gnoza

Antonina Tosiek
Gościni numeru

proste równoległe; łac. *lineae parallelae*: górowanie słońca, dobre i złe bakterie, oksytocyna, topografia języka, ruchy frykcyjne, instynkt przetrwania, potem mrużenie oczu przed światłem

tamta strona, *illa parte*: drut | mundur | ciche kroki | ślepe szlaki
moja strona, *mea parte*: na przykład niemądrze się zakochać | bać się bólu | kupić nóż do chleba

zamieszkałam daleko od lasu
rozbijam obcasem oblodzoną kałużę
nie potrafię już inaczej myśleć o mrozie
zakładam rękawiczki
mówię: poszłabym do kina
przytulam matkę
jestem nieostrożna i tłukę kieliszek
no, nazwij to

Uchylić się przed ciosem
można w dół albo na boki.
Są szczeliny w sklepieniu,
są granaty, krzyże, żebra
i proszą, proszą, widzisz?

Pan dał nam dym. Dał las
i twarze świętych w gotyckich
kościółach. Wola
to wróżka zębuszka
połykających na sucho
tabletki jak żwir, jak rzęsę;
słyszę, jak mnie woła,
przekręca imiona
i obśmiewa porażki.

Jestem jednią, jestem koniunkcją,
jestem twarzą w muszli,
jestem wierzchem dłoni,
nieprzetrawioną żółcią
i smrodem w kolorze fluo;
rozbryzg UV, Pollock UV.

Jestem jednią!
Jestem cielcem,
składam żertwę.

neogotyck

Antonina Tosiek
Gościu numeru

dziewczy-
na odpo-
wiada na
spis po-
wszechny

Antonina Tosiek
Gościni numeru

czy ja jestem tylko miejscem
które oczekuje na życie

czy jestem tylko
płoty
usypane tkanki

słowa się ze mnie sypią
na kształt owali
na podobieństwo rejestrów

kto mi pozwolił
przechowywać obrazy jak swoje
o ciałach mięsnych i wrogich
gnijących pod gruzami
przerzucanych przez granicę
składanych w ziemi do taktu gąsienic

kto daje słowa na własność
wersy wierszy o upadku

przepraszam cię ziemio
że nie stać mnie na piękniejsze piosenki
więc żalobę po tobie obchodzę tak marnie

bo tamta ziemia
nie nosi ludzkich synów
a córki ma przeklęte

od jakiegoś czasu źle sypiam
budzi mnie wycie zziębniętych psów

budzą się warstwy mojego ciała
tycie blizny włosy powiększone organy
kulą się we mnie
kulą się do wewnątrz
nigdy nie chciałam być matką
teraz ujadam

są lata chude
i tłuste jak kontynenty
szyby w popiele
nieruchome takty
są życia bez sensu
zwilgotniałe maje
wytarte płyty
przez radia samochodów
i piosenki bez polotu
śpiewane na smutno
piosenki bez puenty
piosenki jak w tryby piach

w takt
takt takt

Antonina Tosiek – poetka, krytyczka, badaczka XX-wiecznej diarystyki ludowej.
Doktorantka ostatniego roku Szkoły Doktorskiej Nauk o Języku i Literaturze UAM.
Laureatka Studenckiego Nobla w kategorii literatura i dziennikarstwo. Autorka książek
storytelling (Biuro Literackie, 2021) oraz *żertwy* (Biuro Literackie, 2024).

Wszystkie wiersze Antoniny Tosiek z numeru *Festiwal/cyrk* pochodzą z książki poetyckiej
żertwy wydanej przez Biuro Literackie w 2024 roku.

Bal

Bogna Goślińska

Dziewczyna z bajki, włosy do pasa i wystające łopatki. Sine piszczele od upadku z wieży. Z daleka ideał wolny od niedoskonałości. Czasem mówię o sobie w trzeciej osobie.

Jestem śliczna, oblizuję usta powidłami z węgierek. Nie lubię cierpień. Na szczęście nie ciągnie mnie do romansów, tylko do dobrej zabawy.

Dobijają się do mnie chłopcy i dziewczęta, wszystkich biorę pod rękę i ruszam w tan, aż warkocze furkoczą, a iskry sypią się spod podeszw mary jane. Nikt nie dotrzymuje kroku szalonej. Zamieniam ich w psy i koty dla łatwiejszej selekcji, nad ranem rozchodzą się rozszechkane towarzystwo, a jednego z kiciusiów zabieram do łóżka.

Latem unoszę się w stawie, włosy mi ciemnieją na glonozieleni. Niestety żaden ze śmiałków nie pływa. Mają inne bzdurne umiejętności, o których nie wiem, bo nie interesuje mnie to, biegnę dalej. Nie patrzę do tyłu, choćby podpalali mi pięty, nuda. Być sytą, to i okrutną odrobinę, myślę, przełykając najlepszy kawałek sernika (lejący się czubek odcięty łyżeczką). Plan na ten tydzień: przede wszystkim się rozplątać.

Nie lubię wyjaśnień, więc znów ich nie składam. Wysyłam jej pocztówkę z Mielna, bo znalazłam znaczek: to nie jest o nas, tylko o tych, co wyjeżdżają razem na wspólne wyjazdy: piją wino i śpią w jednym łóżku. To nie jest o nas, nie mogłoby być, bo zgotowałaś mi chłodnik na pożegnanie.

Nie ma co gadać po próżnicy, opuściłam wielu, a niektórzy najpierw

opuścili mnie. Można mieć serce złamane nudno wpół, bo komuś się zmieniło. Stara historia i jeszcze starsza śpiewka, nie trzeba pisać o tym wierszy. Przypadkiem upijam się na smutno i rzygam do wanny. Na szczęście po pobudce moje zmysły są przyjemnie przytępione i nic nie muszę.

U starych znajomych robi się nudno, więc mówię: psik! i znikam. Szybki Uber i już wyczajam kogoś na mieście, żeby podejrzeć, jak żony opiekują się domem pod nieobecność małżonka. W ekstazie wyznaję miłość, rano nie znaczy to wiele. Potem frytki na śniadanie, bo taki mam kaprys. I zęby jak perełki. Gryzę, ale znam takich, którzy to lubią. Czasem zostawiam ich w bólu, bo wolą go od mojej beztroski. Nikomu nie dałabym zrobić sobie podobnej krzywdy.

Jestem tylko trochę próżna, myślę, przeglądając się w lusterku. Brzydka w środku śmieję się sobie prosto w twarz, to wszystko bez znaczenia, póki trwa bal. Patrz, uciekłam też od ciebie i nie płaczę. Ani jednej łzy, od kiedy ktoś chciał upodlić mnie w dzieciństwie. Uważam się za osobę nieźle zintegrowaną, która przyjemnością pościeliła sobie wygodnie w życiu. Wyszłam na tym na dobre. Bez wstydu nie pracuję, chyba, że nad planem. Plan jest taki: odziedziczyć fortunę, wyjść za mąż bogato i za starca.

Nigdy niczego nie żałowałam. No może raz, ale nie trwało to dłużej niż rzut oka w lustro na przyćpanej imprezie. Ale postanowiłam nigdy więcej się tak nie czuć.

Bogna Goślińska – krytyczka filmowa, headhunterka. Współpracuje m.in. z *Dwutygodnikiem* i *Budimexem*. Pisz do zinów, biogramy ją denerwują. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @bogiena_.

cyrkówka

Michalina
Cendrowska

to ty jesteś chłopiec
w masce truffaldino
to ty jesteś cyrkówka
żrenica ci rozbłyska
w amarantowych płomieniach
rozpięta między kościołem a ratuszem
lina
chłopiec w masce truffaldino
ściągnięty w talii cekinowym trykotem
połyka przestrzeń jednym susem
rozkładając długie nóżki w sznurek
potrząsa dzwoneczkami na końcach
bucików ze świńskich cholewek

klaszczę o udo kołatką
ze wszystkich wiejskich dziewcząt
najgłośniej się śmieję

Michalina Cendrowska – urodzona w 1997 r. Absolwentka kulturoznawstwa i sztuki pisania na UAM w Poznaniu. Swoje teksty publikowała m.in. w *Odrze*, *Czasie Kultury*, *Stronie Czynnej*, *Tlenie Literackim* i *Techstach*. Współautorka zinów, laureatka konkursów literackich. Współzałożycielka Stowarzyszenia Slamka, zajmującego się promocją literatury kobiecej i queerowej oraz organizacją wydarzeń literackich w Poznaniu.

jest takie wspomnienie siedzę na murze winogron
ulica rozjeżdża się we wszystkie strony grubej księgi nowy testa-
ment
piszę na kolanie psa oddam mamie
siebie oddam w dobre ręce ulicy

na lewą stronę drogi przewrócę prawą stronę ciała
winogrona z kieszeni napiszą na mnie o mnie w grubej księdze
statystycznej
śmierci nie da się określić bo kształt ma na to zbyt
płaski będę miała tułów żeby ktoś zauważył znad samochodowych
twarzy – masek
kotkę cicho mruczącą wspomnienia

żaden bocian nie przyfrunie o tym porze zebrany z ziemi zabierz
mnie w ziemię
mruczę końcem historii na podniebieniu leżąc

czas pokaże mnie mamie ona krzyknie nie ja powiem tak nie ma
mnie ona krzyknie nie tak jesteś
ja nie krzyknę bo nie będę już być
zdolna dośnienia takich głupot kto to widział
musi to bardzo często wspominać
siedząc na murze winogron

w czyścicu nie pada

Martyna Antonina
Cicha

Rytm

Martyna Antonina
Cicha

Nie ma wolności
w świecie zegarów.
Depesze suną po szkle.
Wiertła ganią studnie.

Martyna Antonina Cicha – debiutująca poetka, studentka polonistyki–komparatystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, zawodowa spacerowczyni i rysownicza amatorka. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @myslozernosc.

Aktorzy wychodzą na nieznaną Ci scenę. Mimo że słyszysz te dialogi po raz pierwszy, to już wiesz – znasz tę historię. Chociaż Monika Brodka w *Dziewczynie mojego chłopaka* śpiewając „o tobie piszę znów. Choć nie ten sam sens, imiona też nie” nie miała na myśli Commedia Dell’arte, to w tej prostej frazie ujęła całą jej esencję.

Ta, będąc wczesną formą teatru profesjonalnego, oparta jest w dużej mierze na improwizacji. Jedyne elementy wstępnie opracowane przed wyjściem na scenę to *lazzi* – oparte na fizycznym popisie segmenty stałe – kaprysy fizyczne, podparte muzyką czy szeroko praktykowaną akrobatyką. Jednak to właśnie ta specyficzna adaptacyjność i nieprzewidywalność stanowi jej sedno – bo nie jest to szaleństwo amethodyczne. Commedia korzysta ze znajomych, topicznych wzorców – typów szablonowych (zarówno poważnych jak i komicznych), które służą jako podstawa do budowania bohaterów. To właśnie one są bazą struktury i działań narracyjnych. Bohaterowie, mimo sporej dowolności, są relatywnie sprecyzowani – chociaż są załączkami formy, jeszcze nienasyconymi treścią otwartymi na interpretację misami, to już dźwigają w sobie konkretny ładunek znaczeniowy. Toposy wykształcone w Commedia dell’arte są rozpoznawalne dla współczesnego odbiorcy nawet na poziomie intuicyjnym. Kolombina, Harlequin, Poliszynel czy, no przecież, *innamorati* (kochankowie) stają na scenie za każdym razem odmienni, a jednak pokrzepiająco tacy sami – gotowi za każdym razem wypełnić kulturowe szczeliny czymś innym.

Archetypy te przetrwały i utrwaliły się we współczesnej świadomości, ale warto zapytać, czy przenoszenie tego XVI-wiecznego modułu na współczesną kanwę ma sens? Oryginalna *Brzydula*

śmierć błazna, koniec żartu

Marcin Salwin

(*Yo soy Betty, la fea*) została opowiedziana ponad 20 razy – 20 razy przełożona na płaszczyznę innych kultur, czasów, okoliczności. Kiedy ta polska jest snem o Warszawie z 2008 roku, to ta nowojorska z 2019 obraca się w zupełnie innej sferze marzeń i potrzeb. Czy, symboliczni dla polskiego odbiorcy, Marek i Ula to *innamorati*? Czy może to, po prostu, ciągle historia o brzydkim kaczątku?

A co z najświeższymi topologiami? Facetem z wąsem, byłymi współlokatorami, niebinarnymi baristami? Starym dziadem, klaszczącym kierowcą autobusu czy retoryczną figurą Czyjejs Starej? Czy to nowe kanwy, czy odpowiedzi na te wypracowane pięć wieków temu? Czy wąsate situationship to współczesny *Zanni*, nowoczesne wypełnienie naczynia typu szablonowego, czy on sam jest już swoim nowym archetypem?

W Commedia dell'arte charakterystyczna dla postaci maska całościowo przykrywa twarz aktora.

—

W kontekście sztuki dużo mówię o zdolności transportowania poza miejsca, czy wrażliwości dla nas normalnie dostępne – o możliwości reprezentacji doświadczeń i przeniesienia w inny wymiar. Psychoanaliza podtrzymuje tezę o roli nieświadomości w kreowaniu dzieła sztuki, a Sonia Rammer sięga dalej, do obszaru pragnień, w strefę najbardziej romantycznego z uczuć jakim jest *yearning*, które w polskim nie znalazło moim zdaniem sytego odpowiednika. „Proces twórczy polegający na chwilowym zanurzeniu się w obszarze nieświadomym, daje możliwość «dotknięcia obiektu tęsknoty»”, pisze Rammer¹. Rudolf Arnheim, teoretyk i psycholog percepcji, z kolei widzi sens w esencji. „[Z]obaczyć znaczy uchwycić kilka

1. S. Rammer, *O różnych perspektywach podróżowania – na przykładzie realizacji własnych w: Pomiędzy mapą a terytorium*, red. K. Gliszczyński, s. 62.

najbardziej charakterystycznych cech przedmiotu – błękit nieba, wygięcie łabędziej szyi, połysk metalu, prostokątny kształt książki i wydłużony papierosa”², sygnalizuje.

W tym szukaniu pęknięć, ale też rozszczelnianiu, znajduje się esencja doświadczenia artystycznego – pełne skupienie na skondensowanym rozumieniu jednocześnie dużo przegapia, ale uwiadczenia to, co kluczowe. Podczas gdy w swojej archeologicznej opowieści C.W. Ceram pisząc „wciąż jeszcze trzeba posiłkować się rysunkami, te zaś są subiektywnie zabarwione i subiektywnie źle zrozumiane”³, skarżył się na nierzetelność zapisu rysunkowego, w dyskursie artystycznym to zabarwienie jest kluczem.

„To nie jest »naturalne« mówić dobrze, elokwentnie, w interesujący, plastyczny sposób. [...] Elokwencja – myślenie słowami – jest produktem ubocznym samotności”⁴, zdaje się kontrować Susan Sontag.

—
Wiara, że mamy dostęp do wiarygodności przeżycia w skondensowanej formie artystycznej – czy to wizualnej, performatywnej, czy słownej jest utopijna. Znamiona wejścia w maskę, nawet jeżeli częściową, są nieodzownym elementem działalności artystycznej – zawierającej pogłos realizacji pewnej opowieści wizerunkowej. Ta artystyczna mimikra, zdolność wtapiania się w całość, staje nie tyle w opozycji, co w trudnym, ale ważnym dialogu z inklinacją indywidualnego brzmienia głosu. *Mea culpa*.

Messiaen nasłuchuje ptasiego śpiewu. I chociaż nie był on pierwszy – ptaki transkrybował zarówno Mozart i Beethoven – to nikt nie

2. R. Arnheim, *Sztuka i percepcja wzrokowa. Psychologia twórczego oka*, Warszawa 1978, s. 55.

3. C.W. Ceram, *Bogowie, groby i uczeni*, Warszawa 1994, s. 40.

4. S. Sontag, *As Consciousness is Harnessed to Flesh: Journals & Notebooks 1964–1980*, 1976, tłum. własne.

robił tego z takim uporem i fascynacją. 321 ptaków przelatuje przez partytury Messiaena – oddaje im głos na fortepianie, organach oraz na całą orkiestrę. W swoim trwającym prawie trzy godziny *Catalogue d'oiseaux* transkrybuje ich aż 80. Chaotyczny śpiew pozbawiony jest związku z „naszą” teorią muzyki, znajomością oktaw czy sztywnych reguł. Messiaen transponuje je z czułością i, właściwą unikalnemu językowi tonalnemu, precyzją, która ma oddanie w skomplikowaniu partytur. Nieprzewidywalną, ale dziwnie znajomą, trzynastoczęściową, kompozycję dedykuje Yvonne Loriod.

W wielokrotnie przytaczanej w popularnym dyskursie antropologicznym anegdocie Margaret Mead, zapytana o pierwsze znamię powstającej cywilizacji, podała zagojoną kość udową. To piękny symbol – znak, że „ja” zmieniło się w „my” poprzez wymagający akt długotrwałej opieki – jeden z tych, które nawet współcześnie należą do skomplikowanych. Natomiast Ursula LeGuin w swoim kultowym już esej *The Carrier Bag Theory of Fiction* sugeruje, że sercem cywilizacji jest torba. Pojemnik. Naczynie. Narzędzie nie do zabijania, ale do zbierania, a co za tym idzie, dzielenia (się) – owocami, ziołami, opowieściami.

Nawet jeśli jedno jest anegdotą o niezweryfikowanej prawdziwości, a drugie – esejem, to są pięknym snem na trudny czas. Czuję wyjściem naprzeciw. I chociaż są to po prostu marzenia, to wciąż jednak istnieją nasiona do zgromadzenia i miejsce w torbie gwiazd, jak pisze Le Guin. A mi wciąż dzwoneczki dzwonią na czubkach butów.

Bibliografia

Ursula K. Le Guin, *The Carrier Bag Theory of Fiction*, <https://stillmoving.org/resources/the-carrier-bag-theory-of-fiction> [dostęp: 21.02.2025].

Jennifer Meagher, *Commedia dell'arte*, <https://www.metmuseum.org/essays/commedia-dellarte> [dostęp: 21.02.2025].

Susan Sontag, *As Consciousness is Harnessed to Flesh: Journals & Notebooks 1964–1980*, 1976.

C.W. Ceram, *Bogowie, groby i uczeni*, Warszawa 1994.

Sonia Rammer, *O różnych perspektywach podróżowania – na przykładzie realizacji własnych w: Pomiędzy mapą a terytorium*, red. K. Gliszczyński.

Rudolf Arnheim, *Sztuka i percepcja wzrokowa. Psychologia twórczego oka*, Warszawa 1978, s. 55.

Monika Brodka, *Dziewczyna mojego chłopaka*, 2004.

Agnieszka Garbutt

ja i moja dziewczyna przetaczamy się
przez miasto odjebane jak madonny w indigo
spuszczone ze smyczy głodne
trącamy się pyskami.
noc pęka w naszych rękach
wciąż gorący węgiel, tętniąca jak bęben
niosę w brzuchu jej córkę.

czujemy jak rosną nam pięści
i obie jesteśmy mokre od lata
włożono nam w oczy cienkie brzytwy
a moja dziewczyna zjada cytrynę
jak jabłko
nie obiera mnie ze skórki
chce włożyć mnie do klatki i czcić
jak ołtarz świętej.

Agnieszka Garbutt – publikowała w magazynach: *Składka*, *Wizje*, *Rita Baum*, *Helikopter*, *Tlen Literacki*, *Taubin*, *Szpol*, *Queer Erotica Zine* (*Girls and Queers to the Front*).

*i wiesz / jeśli świat / skończył / się / sekundę / temu / to chcę / naprawdę / chcę
/ żebyś była / ostatnim zapachem / jaki będę / pamiętać*

Zuzanna Pajowska¹

To jest chyba tak, że gdy szykujesz się na katastrofę – ale tak naprawdę mocno się szykujesz, to znaczy rozliczasz każdy najmniejszy rachunek (z napiwkami), przepraszasz za wszystkie nietrafione słowa (również za ślepaki), czyścisz skrzynkę mailową (do cna, odpisujesz na 40% zniżki w Coście) – a ta katastrofa się nie wydarza, to jest tak właściwie gorzej.

To nie jest też tak, że chcę, żeby świat się skończył. To zwyczajnie kwestia podjęcia przygotowań do czegoś, co rok w rok zdaje mi się – więcej, do czegoś, co z pewnością jest co najmniej prawdopodobne. Można by zarzucić mi regresywność myślenia, że to naiwne, że utożsamiam koniec roku z końcem świata, że rok jako jednostka czasu to wyłącznie konstrukt, że mam paranoję – otóż być może, w odniesieniu do każdego z powyższych, ale nic nie poradzę na intuicyjne, kielkujące gdzieś w korytarzach otrzewnej podejrzenie, że tym razem: to jest to. Zawód jedną katastrofą – niewypałem potrafi nieść za sobą poważne konsekwencje emocjonalne – po 26 sylwestrach zaczynam obawiać się, że do trzydziestki będę wrakiem.

Nie wiem, skąd to się bierze. Wyczytałem gdzieś, że jedną z fundamentalnych myśli buddyzmu jest bezwzględna, nie uznająca roztrzepania gotowość na śmierć – że niezależnie od czasu, miejsca i okoliczności powinno się być gotowym na zgon, żeby nie dać się zaskoczyć. Że powinno się żyć na tyle harmonijnym życiem i rozliczać bieżące sprawunki z na tyle konsekwentną uważnością, żeby móc pomachać wypełnioną obiegówką na przywitanie

Cirque du soleil, ale słońce jest we lwie

Bartek Dołotko

1. Zuzanna Pajowska, *WHEN I LOST MYSELF THE ONLY SCENT I COULD SMELL WAS YOU*, <https://pracownia.ast.krakow.pl/when-i-lost-myself-the-only-scent-i-could-smell-was-you/> [dostęp: 22.03.2025].

czegokolwiek, co po ciebie przyjdzie. Ja sam buddystą nie jestem, ale może to coś podobnego. Tak właściwie nie jestem jakkolwiek religijny – jestem za to praktykującym prokrastynatorem, więc oczywiście nie domykam spraw tak szybko, jak się otwierają, uchylają czy rozszczelniają. Zawsze czekam do końca roku, żeby w mniej więcej miesiąc wyczyścić konto. W grudniu moje życie towarzyskie nabiera kolorów – rozgrzane do czerwoności przeprosinami i tłumaczeniami.

Mama powiedziała mi ostatnio, że dzieci chłoną najwięcej bodźców, zanim ukończą trzeci rok życia. Nie mam pewności, ale podejrzewam, że leżąc gdzieś w łóżeczku, odstawiony na chwilę z myślą o plecach mojej mamy, czteromiesięczny ja mógł zasłyszeć, czy to w rozmowie, czy to w telewizji, że świat się zaraz skończy, i że wykończy go y2k. Że świat zgaśnie w mgnieniu oka, rozświetlany jedynie wściekło desperackim błyskiem fajerwerków, które skończą obwieszczać katastrofę, gdy ostatnie ognie stracą zapal w okolicach Alaski. Że taki ja, nie rozumiejąc jeszcze ani słowa, zdeponował z tyłu głowy ten obrazek Alaski jako ostatniego rezerwatu sztucznych światel, przez co ja aktualny szykuje się co roku na zaległy koniec świata, po czym spędza każdy styczeń tłumacząc, że to rozstanie w danym momencie ubiegłego roku było jednak definitywne.

Byłem w kropce, gdy padło, że sylwester będzie cyrkowy – kłau-nem być nie chciałem, bo to zdarza mi się i zbyt często, i w zbyt banalny sposób (smutny klaun? bądźmy poważni). Poza tym, jako facet, byłem pewien, że wszyscy faceci będą klaunami – a szczególnie ci straight, zaciągający na imprezę przez swoje dziewczyny,

zmuszeni do minimalnego wysiłku i pomalowania sobie twarzy białym pudrem i farbami w dwóch kolorach, a to i tak w porywach, z dobroduszej chęci niesprawienia przykrości swoim porządnie przebranym partnerkom.

Byłem więc w kropce, bo na niewiele więcej było mnie stać. Mi-strzem ceremonii à la Hugh Jackman w *The Greatest Showman* być nie chciałem, żeby nie górować zbyt nad pozostałymi cylindrem (180 cm wliczając cylinder, ale chodzi o implikacje, nie o biologię). Nie chciałem być akrobatą, bo mojemu ciału trochę brakuje do optymalnej aerodynamiki. Zaliczywszy w życiu jedną wizytę w cyrku, i to w wieku 7 lat (gdy węzły nie były już aż tak chłonne), nie miałem pojęcia, co począć. Aż zostałem w końcu oświecony przez przyjaciółkę reflekssem światła odbitym przez talerz, na którym, jak się okazuje, cały ten czas leżał pomysł oczywisty – lew.

Lew został mi zaserwowany jako oczywisty, bo sam jestem lwem. Najgorszym rodzajem, z połowy sierpnia – nie wiem, na ile moja prywatna systematyka pokrywa się z oficjalnymi(?) systematykami zodiakalnymi, ale połowa sierpnia, bezlitosna w ostatnich przy-pływach sił upalnego słońca, zawsze wydawała mi się najbardziej esencjonalna, również w nasileniu lwiego temperamentu. Znając mnie, i znając inne lwy z tego samego miotu.

Pojechałem więc na sam koniec świata – Ursus zdał się być zaskakująco blisko Alaski – i kupiłem go: jednoczęściowy kostium lwa. Wyrok w zawieszeniu: 100% poliestru w przestrzeni pełnej pogubionych oddechów pozostałych przebierańców, ale przynajmniej wiedziałem, że nie mierzę się z perspektywą makijażu płynącego w pełni sił przez moją twarz (smutny klaun, a do tego przegrzany?

bądźmy poważni). Jedyną wadą okazał się kaptur ze zrozumiale nierealistyczną głową lwa, ale to tym lepiej, bo nie będzie mnie przynajmniej kusić, żeby pomnożyć wyrok i zaciągnąć go na głowę, jak trofeum z upolowania resztek wypłaty. Kto pożarł kogo, gdy przytykałem kartę do czytnika?

Impreza jak cyrk dosłowny i w przenośni – oczywiście pełna nieprzećwiczonych numerów, nieprzepróbowanych tekstów i niewypowiedzianych napięć. W takich warunkach prawie każdy, a przynajmniej każdy, kto pije „po sylwestrowemu”, jest akrobatą z aerodynamiką mierzoną w promilach, każdy próbuje swoich sił jako mistrz ceremonii, czy to brylując, czy przyciągając reflektory wymownym pustelnictwem. Kanapa jako ring, kuchnia jako trapez – do łazienki na *backstage*, potem znowu kolejny skok przez obręcz. Podpaloną lub nie, i tak można się sparzyć.

Ja byłem czymś na przecięciu wszystkich archetypów – zazwyczaj bywam pijawką, wyjątkowo niescenicznym stworzonkiem, które przysysa się do kogoś i nie puści, dopóki się go nie strzepnie. Tym razem przyssałem się do dwóch klaunów (wiem, niewielkie to zawężenie), J. i K., którzy mieli ten sam mekap, te same kurtki, a ich imiona kończyły się na tę samą sylabę (wiem, niewielkie to zawężenie). Warzyłem sobie piwo i spijałem z ich dzióbeków ile mogłem, trochę z potrzeby towarzystwa, trochę ze szczerzej sympatii. W trójkę, zakutani w pościel z papierosowego dymu na tarasie domu, w którym rozgrywała się impreza, wyglądaliśmy jak czyjś gorączkowy sen: oni dwaj, wystarczająco podobni, żeby przypisać o ciarki, i ja, w kostiumie lwa, z narzuconymi niedbale butami ledwo mieszczącymi wyglądające jak nieodratowane po wypadku

samochodowym lwie łapy i kurtką, zza której kołnierza wystawał martwy, ale niezawodnie czujny lwi pysk. Obgadaliśmy tak, nie marząc ani przez chwilę, wszystko i wszystkich, aż w końcu wybiła północ i przypomniałem sobie, że jest to być może ostatnia nocka spędzona w świecie takim, jakim go znam. Dlatego, gdy wszyscy pospieszyli w stronę rozpalonego chwilę przed odliczaniem do katastrofy ogniska, ja powędrowałem na werandę, której daszek, w nocy podparty blaskiem lamp, de facto zaprzeczał swojemu przeznaczeniu – w ciągu dnia chronił przed światłem, teraz przyciągał nim zdezorientowane alkoholem ćmy, takie jak ja, mierzące się ze swoimi własnymi promieniami na końcach tuneli.

Ściągnąłem kurtkę i położyłem ją na schodkach, po czym usiadłem tuż obok niej – byłem przegrzany, ale potrzebowałem towarzystwa. Zawsze w sylwestra daję sobie mniej więcej półgodzinny margines błędu, zanim osądzę, że świat jednak zdecydował się nie zwijać danego roku. W przeciągu tych trzydziestu minut zazwyczaj dzwoni do mnie mama – najczęściej jako pierwsza – i babcia. Te dwa telefony zakotwiczą mnie co roku w pewności, że jednak będę musiał zamówić ubera i obudzić się następnego dnia, który i tak zawsze sprawia wrażenie, jakby wszystko dookoła zmroziła ciemność niewystarczająco perspektywicznego programowania.

Po chwili wstałem, żeby wyprostować stawy i nerwy. Stałem tak jak kołek, jak maszt bez choraągiewki, któremu trochę brakuje do bycia metaforą. Zadzwoiła w końcu mama, cień zawodu zaczął subtelnie pełzać po polerowanym co roku przygotowaniu na najgorsze. Ale babcia – babcia nie dzwoniła, nie wiedziałem, czy zachłyśnięta snem, czy rozkojarzona kontekstem. Spróbowałem więc zadzwo-

nić, żeby dopełnić rytuału, ale gdy nie odebrała trzeciego telefonu 28 minut po północy, mój puls, nieco zdezorientowany, zaczął odczuwalnie tańczyć, co prawda nie do rytmu cyrkowej muzyki, którą ktoś z przewidywalnym poczuciem humoru puścił przy ognisku, ale wciąż w zawrotnym tempie. Czyżby to miało jednak nastąpić? Czyżby te wszystkie wątpliwe etyczne wiadomości, wysłane przez wcześniejszych trzydzieści dni, miały okazać się słuszne?

Przysiadłem z powrotem na schodku, układając się tak, żeby kość ogonowa i ogon rzeczywiście dyndający u zwieńczenia moich pleców przywitały nieuniknione w jak najwygodniejszym ułożeniu.

I wtedy dostałem smsa od ciebie. Z życzeniami, pierwszy raz.

Nocny wybrał sobie najgorszy możliwy czas, żeby nie przyjechać. Wróciłem do domu uberem, zapłaciłem mniej więcej tyle, ile wydałbym następnego dnia na obiad w lokalu, który nie szanuje swoich pracowników.

W następnych tygodniach zapadłem na gorączkę – mało, na malinę jak żywcem wyssaną z powieści Dostojewskiego. Świat miał skończyć się akurat wtedy, ale tak wyszło, że Alaska mogła odechnąć.

Świat miał się skończyć akurat wtedy, a moje ciało zareagowało alergicznie na jego ciągłość.

Bartek Dołotko – pisze różnie, zinuje, robi doktorat. Znajdziecie go pod adresem:
https://linktr.ee/bartek_dolotko.

Lubię miłe gesty
Symboliczne prezenty
Przedmioty i sytuacje

Akwamarynowe bransoletki z dwoma bursztynami
Jeden większy drugi mniejszy

Wczesne kasztany
Najlepiej też takie podwójne

Karteczki w formacie portmonetkowym
Z głupkowatym rysunkiem

Sztuczne żółte tulipany
Koniecznie solo

Nakrętki z wygranym piwem
Szczęśliwe papierosy

Mobilne popielniczki z festiwalu
O wątpliwej sławie

Zamówione piosenki do jazdy na karuzeli
Z widokiem na Gdynię nocą

Słodkie zaczepki palcem pod stołem
Później objęcia w tańcu do piosenek przyjaciółek które serdecznie
kibicują

Ciche modlitwy na wrocławskich dachach
Do Groszków i róż Ewy Demarczyk
Z magicznymi kwiatami zawiniętymi w papierki

Wygnanie z raju

Michał Kowalczyk

Wypady na malowanie miejskich ścian
O koniec wojny
Bo piekło jest na Ziemi

Niebo niestety też
Ale powiedziało że nie chce mnie oszukiwać

Adam dał się skusić
Takie nasze wygnanie z raju
Tylko że we Wrocławiu

trochę rzeczy mi zostało
nie mam w planie oddawać tej pożyczki

dwie okrągłe blizny
pielęgnuję na wystęпах
dla ludzi którym opowiadałam koszmary

parę czerwonych tasiemek
przyklejonych w żarcie
na kurtce od serdecznej malarki

ciepłą bluzę po twoim ojcu
ze sztucznego materiału
już bez zapachu który uspokajał

zapalniczkę wypełnioną gazem
z bąbelków cydru
pitego w barze do którego boję się wracać

paranoiczne cytaty na ścianach
nic nie znaczące odpowiedzi
nietrzeźwe przypomnienia o usychaniu

zaznaczone fragmenty książki
jeden o mnie drugi o tobie
kartka w kartkę

trzy symbole
ilustrujące mój krzyk
które przekazuję w metal ze stoczniovcem

Dług po wygnaniu

Michał Kowalczyś

dokumentacje festiwalowego szaleństwa
adrenalinowych wyrzutów
sennych uścisków

jeden dług
czekający na walentynkową windykację

Michał Kowalczyś (ur. 2001 r.) – absolwent ASP w Gdańsku oraz student ASP we Wrocławiu. W praktyce artystycznej porusza się w zagadnieniach związanych z własną tożsamością oraz podejmuje próby przeniesienia na język wizualny osobistych doświadczeń. Interesują go metafory wynikające z zagłębienia wewnątrz siebie oraz pozycjonowanie ich względem zastanych kodów kulturowych. Szukanie wspólnych mianowników przeciwstawnych znaczeń stanowi źródło inspiracji do pracy twórczej, której początki często odnajduje w poezji. Prace prezentował w ramach festiwali takich jak Vor/Wiosna w Słatruhusid Art Center w Islandii (2021), Gdynia Design Days (2023), Wrocław Off Gallery Weekend (2024), czy Performance Platform Lublin (2024) w galerii Labirynt. Jest również jednym z uczestników projektu *Głęboka Woda 2022* organizowanego przez Gdańską Galerię Miejską. Można go znaleźć na Instagramie na koncie @michalkowalczyś.

Sny były tanie i dostępne bez recepty. Szeptwały uwodzicielsko do klientów w alejkach supermarketów, mrugały z kolorowych witryn przy drodze i pukały w szybki automatów z przekąskami, obiecując brak skutków ubocznych. Niestety, miały jedną zasadniczą wadę – na mnie nie działały.

– *Pełna immersja, intensywne doznania, zero sztucznych barwników.*
– Przeczytałam na etykiecie, obracając w palcach opalizującą buteleczkę wścieklej zieleni. Litery pulsowały lekko, jakby tekst dostosowywał się do mojego spojrzenia. – *Uwaga! Stosowanie snów zakupionych poza oficjalną dystrybucją grozi utratą tożsamości.*

Za plecami rozległo się miarowe pikanie skanera.

Pik. Sen o wielkiej miłości.

Pik. Papier toaletowy, 16 rolek.

Pik. Sen o lataniu nad miastem.

Pik. Karton mleka 3,2%.

Pik. Sen klasy ekonomicznej, losowa fabuła, brak opcji zapisu.

Wszystko estetycznie zapakowane w przezroczystą folię, wystandaryzowane, gotowe do użycia. Sen na każdą okazję. Nocne marzenie idealne do śniadania, popołudniowa drzemka o zapachu lawendy, koszmar premium na długie zimowe wieczory. Można było dobrać pakiet rodzinny, subskrypcję na miesiąc albo wersję light – krótką i pozbawioną emocji.

Odłożyłam flakon na półkę. Patrzenie na niego było jak oglądanie wystawy z cudzymi wspomnieniami. Ludzie mówili, że sny to wentyl bezpieczeństwa, a bez nich człowiek się psuje jak radio, które utknęło na szumie. Nie czułam się zepsuta, ale bardziej jak wersja

Współ- czesne czarowni- ce wróżą z kul dys- koteko- wych

Natalia Dobroń

demo – ograniczona do trybu dziennego, bez dostępu do pełnej funkcjonalności. Może kiedyś śniłam. Może ktoś mi to wyłączył. A może nigdy nie było tej opcji.

Neonowe światła supermarketu pulsowały, odbijając się w kałużach na popękanym asfalcie parkingu. Metalowe wózki stały porzucone w przypadkowych miejscach, kilka przewróconych, jakby ktoś zostawił je w pośpiechu albo poddał się nagłemu znużeniu konsumpcją. Wyszłam. Za mną został świat sterylnych półek i kodów kreskowych. Oślepił mnie neon.

Cyrk jest tam, gdzie go potrzebujesz.

Migał nierównomiernie, jakby sam nie do końca wierzył w swoje słowa. Strzałki po obu stronach naprzemiennie wskazywały lewo i prawo. Samochody sunęły ospale, a nieliczni przechodnie snuli się po chodnikach, ignorując jarzący się napis. Przechodzili pod nim obojętnie, jakby był tylko kolejną reklamą fast foodu czy lombardu. A jednak on tam był.

Cyrk.
I czekał.

Nie miałam ochoty na cyrk ani na kolejną iluzję do kupienia na raty. Minełam kiosk z gazetami, w którym od miesiący nikt nie zmieniał pierwszych stron, sklep z elektroniką pełen neonowych napisów likwidacja i bar, w którym kebab kręcił się bez końca, jakby nikt nigdy go nie kupował. Wszystko na swoim miejscu. Nawet światło w moim oknie paliło się jak zwykle.

A jednak coś było nie tak.

Dźwięk.

Podskórnie znajomy, ale jakby rozciągnięty, spowolniony, rozlany po ulicach niczym gęsty miód. Echo *Stayin' Alive* odbijało się od ścian budynków w zwolnionym tempie.

Zatrzymałam się. Niebo, czarne i gęste, wisiało nad miastem jak aksamitna kurtyna. W oddali mignęło mi coś kolorowego. Przetarłam oczy. Neon pulsował teraz w rytm muzyki.

Cyrk jest tam, gdzie go potrzebujesz.

Z niewymuszoną rezygnacją ruszyłam w stronę wejścia, ale nagle poczułam, że muszę jeszcze coś uregulować. Bileter w wypłowiałym fraku i srebrnych butach na platformie spojrzał na mnie z wyraźnym brakiem zainteresowania.

– Jeden ulgowy – powiedziałam, sięgając do kieszeni, niepewna, czy mam przy sobie gotówkę. Nie zdejmując nóg z lady, sięgnął do kasy, wyciągnął dwudziestozłotowy banknot i przesunął go w moją stronę.

– Ale ja...

– No co? – westchnął, stukając banknotem w blat, jakby moja uparta potrzeba zapłacenia była osobistą zniewagą. – Masz, bierz. I nie marudź, bo mi tu kolejkę robisz.

Rozejrzałam się odruchowo, ale kolejki oczywiście nie było.

– Wchodzisz tamtędy. – Wskazał niedbale na ciężką kotarę. – Spektakl zaczyna się za pięć minut.

Schowałam banknot do kieszeni i ruszyłam przed siebie, ale nie

w stronę wejścia, które mi wskazał. Skreśliłam niemal odruchowo. Muzyka wciąż sączyła się w powietrzu – *Stayin' Alive*, rozwleczone, rozmarzone, rozmyte jak światło neonów w kałużach po deszczu. Klaun na wrotkach przemknął obok mnie jak kolorowa smuga, zostawiając w powietrzu zapach waty cukrowej. Nie patrzył na mnie, ale rzucił w przestrzeń zdanie, które zdawało się lewitować w powietrzu:

– Wszyscy wrotki odpinają.

Zniknął za zakretem, jakby nigdy go tu nie było.

Mały czarno–srebrny namiot wyrósł przede mną, wtulony w cień głównej areny. Tkanina połyskiwała w świetle, ale nie byłam pewna, czy to tylko materiał, czy coś pod nią się poruszało.

Wróżba jest tam, gdzie jej szukasz.

Weszłam do środka. Zasłony, lśniące jak benzyna rozlana na asfalcie, tłumiły światło. Powietrze było przesycone czymś słodkim, co osiadało na języku, lepkie i znajome, choć nie do końca rozpoznawalne. Przy wejściu zwinięty w kłębek na szezlongu spał tłusty czarny kot. Przeciągnął się leniwie, rozcapierzając pazury, po czym z gracją zeskoczył na podłogę. Przeszedł przez namiot jak właściciel tego miejsca i wskoczył na stół, który aż zaskrzypiał pod jego ciężarem. Pochylił się nad szklanką, która – przysięgłabym, że jej tam nie było – stała tuż obok kuli dyskotekowej. Zanurzył pyszczek w mlecznobiałym drinku w oliwką.

– Ej! – Spróbowałam go odgonić, pochylając się w jego stronę.

– To nie martini – stwierdził z wyrzutem, oblizując wąsy. — To sen

o martini.

Zawiesiłam rękę w powietrzu.

– Słucham?

– Widzisz oliwkę? – Trącił szklankę łapą. Zielona kulka zanurzyła się i wypłynęła na powierzchnię, wirując leniwie. – Smakuje jak oliwka. Pachnie jak oliwka. Ale oliwką nie jest. Bo to nie martini. To sen o martini.

Kot przyglądał mi się uważnie, jakby oceniał, czy to do mnie dotarło.

– A więc? – Zerknął na mnie spoде łba. – Chcesz znać swoje przeznaczenie, czy będziemy tak siedzieć i kontemplować iluzję alkoholu?

Kot znowu oblizał wąsy i usiadł na stole, zawijając ogon wokół jednej ze swoich ośmiu łap.

– Jak to działa?

– Proste. – Stuknął pazurem w dyskotekową kulę. – Siadasz. Czekasz. Piłka mówi, co z tobą będzie.

Absurd. Całe to miejsce było absurdem.

– No dobrze – westchnęłam, poddając się bez walki. – Dawaj. Jakie jest moje przeznaczenie?

Kula zawibrowała, zamigotała wszystkimi kolorami naraz i z cichym ping! wypuła paragon. Pochyliłam się i podniosłam go ostrożnie. Zwykły, termiczny papier, lekko ciepły w dotyku. Czarny nadruk z pewnością wyblaknie w ciągu kilku miesięcy.

– *Twoje przeznaczenie: brak snów* – powiedziała kula. – *Dziękujemy za zakupy!*

Zaśmiałam się sucho.

– Bardzo zabawne.

– Masz tu też kupon rabatowy na sen o winnicy w Toskanii. — Kot pewnie wzruszyłby ramionami, gdyby tylko mógł. – Współczesne czarownice wróżą z kul dyskotekowych. Takie czasy.

– To co teraz? – zapytałam.

Kot zeskoczył ze stołu.

– Teraz pewnie się obudzisz.

– Ale ja nie śpię.

– No właśnie. – Zaczął lizać łapkę. – O, jeszcze reklamy.

W tym momencie przestrzeń wokół mnie zadrżała i rozbłysła neowym światłem. Z sufitu opadły kolorowe banery i ulotki, unosząc się w powietrzu jak konfetti. A potem rozległ się znajomy głos:

– *Nie masz snów? Nie martw się!*

Kot spojrzał na mnie współczująco.

– To zawsze się włącza na końcu.

– *Już teraz możesz kupić dodatkowy pakiet marzeń nocnych w naszym sklepie! Kliknij tutaj, aby się zarejestrować i odebrać pierwszy sen gratis.*

Spojrzałam na paragon. Kod rabatowy migał zachęcająco.

– Przecież to oszustwo! – zagrzmiałam, zgniatając papier w dłoni.

– Nie, po prostu zapłaciłaś za coś, czego i tak nie miałaś. – Kot

ziewnął. – Teraz masz to samo, ale w lepszym opakowaniu.

– Czyli?

– Teraz masz oficjalnie brak snów. Z certyfikatem. Gratulacje. To coś w rodzaju licencji premium.

– Cudownie.

– Kupowanie to stan umysłu. – Kot przeciągnął się i wskoczył na szeszlone, zwijając się z powrotem w kulkę. – Tak jak spanie. Lub jego brak.

Namiot nagle stał się duszny. Powietrze zgęstniało, a muzyka z zewnątrz brzmiała teraz przytłumienie, jak zza grubej ściany wody. Czułam, jak krew mi pulsuje w skroniach.

– To już koniec?

Kot otworzył jedno oko.

– No pewnie. Wychodzi się tamtędy.

Spojrzałam w kierunku, który wskazał ogonem.

Nie było tam drzwi, ale neonowa reklama. *Śnij z nami! Pierwszy miesiąc za darmo! Z kodem: BEZSENNOŚĆ –10% na pierwszy zakup.*

Pod spodem: *Zamknij reklamę (X).*

Nacisnęłam. Nic się nie stało. Kot zwinął się w kłębek i mruknął:

– Mówiłem, że na koniec są reklamy.

Natalia Dobroń – czarownica, pisarka i pogromczyni edytorskich demonów. Kolejność zależy od fazy księżyca. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @wiedzma_pisze.

Grochów- ka

Aleksandra
Szajnecka

Mam wyjątkowo antypatyczną rodzinę. Każdy z nas nosi w sobie cechę, która sprawia, że ciężko go znieść, a co dopiero polubić. Dlatego, tak jak ogórki, najbardziej lubimy kisić się we własnym słoiku. Moja mama jest Arogancka, mój tata Przygnębiony, starszy brat Okrutny, a ja Wścibska. Co tydzień spotykamy się na niedzielnym obiedzie, żeby побыć sobą, ze sobą. Siadamy przy wielkim, okrągłym dębowym stole, który może pamiętać Króla Artura i kłócimy się rekreacyjnie.

W zeszłym tygodniu wydarzyło się jednak coś niespotykanego – mój Okrutny brat przyprowadził Dziewczynę. Bardzo mnie to zainteresowało, i to z wielu powodów, nie tylko dlatego, że jestem Wścibska. Kobiety przeważnie unikały Okrutnego brata, dzięki Bogu. Dziewczyna była śliczna, miała okrągłą buzię, prostą grzywkę i bardzo mocno zaciśnięte usta, jakby próbowała zassać się do środka. Wyglądała też na chorą, tak chorą, że w każdej chwili mogłaby nam się tu przekręcić i skończyć sztywna pod stołem. Przez to tata byłby jeszcze bardziej Przygnębiony. Miał dziś wyjątkowo posępny humor, bo zatrzasnął się rano na trzy godziny w osiedlowej altanie śmietnikowej. Dziewczyna usiadła z nami przy stole i nic a nic się nie odzywała. Mama zaczęła jej tłumaczyć, jak powinna się ubierać i jakie kolory są dobre dla jej karnacji, bo na pewno nie te, które ma na sobie. Umiarkowanie aroganckie jak na mamine możliwości, takie skrojone do przystawki.

– Czy jesteś tak Okrutny, że porwałś ją ze szpitala? – wyszeptalam wścibsko. – Słabo wygląda, choruje na coś? Kiłę, flegmonę, dychawicę?

– Patrząc na was, myślę, że dopiero teraz przyprowadziłem ją do

szpitala – Uśmiechnął się złośliwie. – Ale jesteś blisko, Wścibska, jest w niej coś krwście zaraźliwego i mam nadzieję, że uda nam się to dziś złapać. Trzeba ją tylko rozbawić.

Musiałam dowiedzieć się, o co z nią chodzi. Czy to kolejny Okrutnego żart? A może mój brat rzeczywiście odnalazł kogoś równie beznadziejnego, jak my? Tata akurat sylabizował nudną historię o pierwszym spotkaniu z mamą trzydzieści lat temu. Szedł do Urzędu Pracy, a ona wjechała w niego rowerem, złamała mu nogę i pozwała go o wygięcie jej ramy.

Natychmiast mu przerwałam. Jeszcze nie zdążyliśmy zjeść pierwszego dania, progazowej grochówki, a on już wyciągał taki kaliber żałowości. Zaczęłam zadawać Dziewczynie jedno pytanie po drugim: skąd jest, kim są jej rodzice, jak układa grzywkę, że jest tak idealna, czy lubi mojego brata, czy śpią razem i czy uprawiają dużo seksu, czy ona dobrze sypia (bo nie wygląda – dodała mama), ile zarabia, czemu tak mało, czy jest rozczarowana swoim życiem (bo ja bardzo – wtrącił się tata), ile waży, czy była kiedyś w Australii, czy była gdziekolwiek, czemu tak cicho mówi, jaka jest jej trauma z dzieciństwa, czy ma regularny okres, kiedy dzieci, ile, i jakie imiona, no i czy grochówka jej smakuje (nie, bo jest obrzydliwa – syknął brat).

Na wszystkie pytania odpowiedziała, powoli i z namysłem, miło i szczerze. Boże, pomyślałam, to prawdziwy cud, ona jest Tchórzliwa! Pasuje tu jak ulał. Rozmarzyłam się, myśląc o ich przyszłych dzieciach, ciekawe jakie będą, może Nudne i Próżne? W końcu zostanę Wścibską Ciotką.

Wiedzieliśmy, że paskudni z nas ludzie, dlatego każde z nas robiło jedną rzecz, czyniącą, przynajmniej w naszym mniemaniu,

świat znośniejszym miejscem. Znacie te niezręczne momenty, kiedy po śmierci ktoś wspomina na styple okropnego człowieka? “Józef był chamem i złodziejem, ale dzieci uwielbiały się z nim bawić w chowanego”? Do tego dążyliśmy. Moja mama chodziła z dłużnikami do siedzib firm windykacyjnych i zastraszała pracujące tam osoby. Mój tata popołudniami pojawiał się w szpitalnych ogrodach i najpiękniej na świecie grał bluesa na liściach pod oknami pacjentów. Brat jeździł na interwencje do domów, w których męczono zwierzęta. Groził właścicielom, że powyrywa im nogi z dupy, a psy zabierał ze sobą. Za to ja włóczyłam się po przystankach autobusowych i godzinami wypytywałam samotne babcie o ich wspomnienia. Tacy byliśmy. Mięciutcy i skiśnięci w środku.

Gdy Arogancka mama chodziła wokół stołu, wymachując łyżką z ziemniaczanym puree, Okrutny brat niepostrzeżenie położył na jej krześle poduszkę–pierzuszkę, dołączoną do 805. numeru „Kaczora Donalda”. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, usiadła na swoim miejscu, a cisza jadalni wypełniła się soczystym pierdem. Nie wzruszyło nas to, tak jak nie wzruszyłoby nas nic innego. Brat był Okrutny od urodzenia, żadna nowość. Jednak Dziewczyna zaczęła w błyskawicznym tempie przybierać kolor buraczków. Napęczyła tak bardzo, że prawie przestała oddychać. Była na granicy omdlenia, gdy nagle nie wytrzymała i pękła. Zaczęła śmiać się dziko, przyrzekam, aż poczułam wiatr z jej oddechu na sobie. Nigdy nie słyszeliśmy czegoś takiego. Były w tym śmiechu odgłosy wszystkich zwierząt świata: świst puchatych świnek morskich, złośliwość zapowietrzonych osłów, chrupkanie ordynarnych świń, skrzek głupkowatych małpek,

rzenie figlarnych koni, rechot toksycznych żabek, chichot agresywnych hien. Były tam wszystkie piękne i radosne rzeczy: pachnące mydłem ciemiączka niemowlaków, orzeźwiające mojito w upalny dzień, przytulenie pełne miłości, 50 złoty znalezione na chodniku, fioletowe zachody słońca, spełnienie marzenia z dzieciństwa i adrenalina, gdy zjeżdżasz kolejką górską. Słuchaliśmy tego oniemiałi, a nasze kąciki ust zaczęły się karykaturalnie wykrzywiać do góry. Mój ojciec zaraził się pierwszy, jego przygnębienie okazało się podatne na wirusa. Walił pięścią w stół, wybuchając raz za razem tubalnym rechotem. Matka spadła z krzesła i ryła ze śmiechu, tarzając się na dywanie. Mój Okrutny brat chichotał, a po jego polikach spływały wielkie łzy. Otworzyłam okno na oścież, żebyśmy się nie podusili, a później weszłam na stół i zaczęłam tańczyć. Śmiałam się i zrzucałam przy tym wszystkie przystawki, owoce i ciasta na podłogę. Wciągnęłam w to po kolei Tatę, Brata, Dziewczynę i Mamę, której udało się wyrolować spod stołu. Skakaliśmy, wirowaliśmy i płasaliśmy na dębowym stole, aż sąsiedzi zaczęli uderzać kijem od szczotki w sufit. Srebrne łyżeczki, zabytkowa porcelana i fikuśne pierścienie do serwetek podskakiwały na parkiecie. Po godzinie fetowania, zaczęliśmy się uspokajać i nasze śmiechy powoli ucichły. Usiedliśmy na pobjowisku i patrzyliśmy na siebie, ciesząc się głupkowato. W końcu Dziewczyna się odezwała:

– Bardzo Państwa przepraszam, to zawsze się tak kończy. Jestem Komiczna. – Spuściła głowę i już była gotowa do wyjścia, kiedy moja rozczochrana mama, nadal z obłędem w oczach, złapała ją za drobną, spoconą dłoń i wysapała:

– Witaj w rodzinie.

Aleksandra Szajnecka – fotografka i miłośniczka grzybów. Kolekcjonerka małych zachwyków i spektakularnych porażek. Bardzo często się wzrusza. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @a.szajnecka.

Okrągłe historie

Weronika Rychta

1.

Baseny z kulkami. Ogromne przestrzenie, pełne wielkich, miękkich, kolorowych klocków i plastikowych piłeczek, były niemal jedyną treścią moich fantazji. Nocami wędrowałam po przestrzennych halach, niekończących się systemach zjeżdżalni, basenów, tuneli i innych trudnych do opisanego zakamarków. Za każdą atrakcją pojawiała się kolejna i kolejna – sen łądował tę przestrzeń jak w doskonałej grze komputerowej, w której mapa nie ma końca, więc porzucasz rozgrywkę, żeby po prostu iść i cieszyć się, że możesz iść, zapominając o lęku, że może to nie mapa jest nieskończona, lecz to ty jesteś bardzo mała, mała jak punkcik, którego nawet nie oznacza się na mapie, a to znaczy, że jeśli będziesz szło bardzo, bardzo długo, nawet jeśli za tym bardzo długo będzie następne bardzo długo, to przecież w końcu dojdiesz do ściany. (Najgorsze są gry, w których nie da się dotrzeć do horyzontu, a gdy zbliżysz się zbyt blisko, nagle coś wyskakuje – w morzu rekin, na lądzie wielki robak – i zjada cię lub rozszarpuje: game over, nie pójdziesz dalej).

Ale nawet nie śniąc, marzyłam o basenach z kulkami. Zazdrościłam dzieciom, które wyprawiały urodziny w salach zabawach, i tym, które miały minibaseny z piłeczkami w domach. Poza urodzinami koleżanki z przedszkola byłam na sali zabaw tylko raz – tak dawno, że może to moje pierwsze wspomnienie, a może mój założycielski mit.

2.

Byłem jeszcze dzieciakiem, kiedy zacząłem uczyć się żonglować. Najpierw ćwiczyłem na pustych w środku plastikowych piłeczkach, które wziąłem z zestawu zabawkowych kręgli. Jako tako nadawały się do żonglowania z użyciem dwóch rąk, ale gdy próbowałem robić to jedną, zdawały się na nic. Powinny być mniejsze.

Szperając po szufladach, gdzie trzymałem wszystko – od figurek postaci z ulubionej kreskówki po żółte gumy do żucia, znalazłem kilka kauczukowych piłeczek, trochę większych od tych standardowo sprzedawanych w automatach. Pierwsza była niebieska w czarne kropki, druga przypominała kartkę, na którą ktoś przypadkowo wylał wszystkie swoje farby, a trzecia była pomarańczowa i oplatała ją pośrodku, jak równik na globusie, neonowozielona linia. Tę ostatnią lubiłem najmniej, a właściwie wcale, ale kiedy żonglowałem, przestawałem o tym pamiętać, bo podrzucane piłeczki zmieniały się w kolorowe smugi i wyobrażałem sobie, że są dynamicznymi ciałami niebieskimi w bajecznym, kolorowym kosmosie. Momenty, kiedy mogłem się na tym skupić, były jednak rzadkie. Ten kosmos wcale nie był kosmosem, był raczej chaosem: gdy tylko zabrakło mi refleksu, piłeczki upadały na ziemię, a ponieważ zrobiono je z kauczuku, odbijały się wysoko i szybko w losowych kierunkach jak oszalałe – to była kosmiczna katastrofa, barwna zagłada wszechświata – a potem kończyły w szparach pod regałem, skąd musiałem je wyciągać, czerpiąc z najgłębszych pokładów cierpliwości i sprytu.

W dniu urodzin rodzice podarowali mi specjalne piłeczki przeznaczone do żonglowania i długo cieszyłem się ich doskonałością. Gdy spotykały mnie stresujące sytuacje, przywoływałem wyobrażenie ich ciężaru w dłoni i dynamiki opadania. Uczyłem się, że czasem to ja żongluję sytuacjami, a czasem one mną – ale dopóki jestem piłeczką do żonglowania, a nie piłeczką z kauczuku, mówiłem sobie, wszystko jest w porządku.

3.

Wydaje mi się, że miałam gorączkę, bo sen, który mi się wtedy przyśnił, różnił się od wszystkich innych. Przewracałam się z boku na bok, nie mogąc zasnąć (albo nie mogąc się obudzić). Zauważyłam coś kątem oka. Zdarzało mi się to bardzo często – szybciuchne momenty, gdy widzi się coś, czego nie ma, równie szybko odwraca się głowę, a jeszcze prędzej przychodzi ulga potwierdzenia: rzeczywiście, nic tu nie ma.

Jednak tym razem był tam pajac. Nieduży, nieco wyższy od szafki nocnej. We wdzianku z pozszywanych łat i z imponującą spiczastą czapką w mniejsze i większe kropki. Stał dwa czy trzy metry od mojego łóżka – akurat w takiej odległości, żeby nie przerażała mnie jego bliskość, skoro wystarczająco straszna była sama obecność. Uśmiechnął się i wyglądał jak pies okazujący komuś zaufanie i sympatię. Im dłużej patrzyłam, tym bardziej ten uśmiech tracił na psowatości, stawał się koci, a ostatecznie przeszedł w coś gadziego. Zapytałam go bardzo cicho, czy jest jaszczurką, a pajac odparł, że jaszczurki nie bawią się piłkami. Wtedy zauważyłam leżące wokół niego piłki – niektóre były

prawie tak duże jak on. Nie miałam czasu, żeby się zastanowić, skąd tyle piłek wzięło się w moim pokoju, bo zanim przyszła ta myśl, już pojawiła się inna: że te piłki zostaną mi zabrane, a wraz z nimi wszelka okrągłość. Uśmiech pajacyka nie był psi, koci ani gadzi – był kwadratowy. I nawet kiedy pajac zniknął, zabrawszy ze sobą piłki, kwadrat jego uśmiechu pozostał.

Od tamtej pory stopniowo przestawałam czuć krągłości. Wskakiwanie do basenu z kulkami byłoby dla mnie jak tarzanie się w kanciastych sześcianach. Nie mogłam grać w piłkę, w kręgle, żonglować. Chwytywanie piłeczek prawie bolało. Nawet po latach – nawet teraz, gdy jestem już dorosła – czuję, że nie ma rzeczy okrągłych. Mieszkanie, które wynajmuję, jest kwadratowe i chodzę do kwadratowej pracy. Język, którym się posługuję, też jest kwadratowy i chociaż próbuję opowiedzieć o sobie, nie ma dla mnie miejsca w żadnym z jego czterech kątów. Mówiąc to, sama czuję się kwadratowa.

Wiem, że tamten sen z dzieciństwa był tylko snem – ale był też początkiem uświadomienia sobie czegoś: że uśmiechy mogą być kwadratowe, że wszędzie dookoła istnieje napięcie między kątem i zaokrągleniem, liniami prostymi i falami. Jednak – myślę sobie – skoro to napięcie jest wyczuwalne, krągłości i fale powinny być dla mnie tak samo rzeczywiste jak kąty i boki kwadratów. Nie wiem, dlaczego ich nie czuję.

4.

Siedzimy na miejskiej plaży i obserwujemy bańki mydlane puszczane przez tuptającą w pobliżu gromadkę dzieci. Chyba mają jakieś święto – widzimy porozrzucane dookoła talerzyki z resztkami ciasta, przywiązany do drzewa wypełniony helem balon o trudnym do rozpoznania kształcie. Bańki wychodzą im ogromne i mienia się tęczowo. Chcielibyśmy dotknąć takiej bańki, ale tak, żeby nie pękła. Chciałybyśmy, żeby bańki zamieniały się w błyszczące zmiennokształtne stworki, żeby można było je głaskać, dotykać ich plastycznych, miękkich ciał. Nie wiem, które z nas zadało to pytanie: czy siedząc na tej samej plaży, po której biegają dzieci, świętujemy razem z nimi?

Jest nam dobrze.

Weronika Rychta – urodzona w 1996 roku. Korektorka i redaktorka. Ukończyła filologię polską i gender studies, a teraz studiuje filozofię. Miłośniczka grozy i groteski, entuzjastka codzienności.

Redakcja: Krystian Furga,
Klaudia Kołodziejczyk,
Sandra Moczulska, Marcin Salwin
Korekta: Krystian Furga
Skład: Klaudia Kołodziejczyk,
Sandra Moczulska
Projekt okładki: Marcin Salwin
Ilustracja na stronie 45:
Gosia Łobejko (@kuriozaaa)



Magazyn Literacki Składka
Warszawa 2025
www.magazynskladka.pl



SKADKA